

Jakich pytań stawiać nie wolno?

26 stycznia 2016

Oburzenie wokół debaty na temat kolonializmu, jaka w najbliższą środę odbyć się miała w Szkole Głównej Handlowej, to nie tylko kwestia smaku, ale przede wszystkim ciągle powracającego pytania o granice, które ma stawiać sobie naukowiec na drodze poznania. I odpowiedź na nie wcale nie jest zero-jedynkowa.

„Jak zachwyca, ja nie zachwyca” – pyta w „Ferdydurke” Gombrowicz. Ta zmasakrowana przez fakt umieszczenia na liście lektur szkolnych książka jest czymś więcej niż rozprawą z ubieraniem duszy ludzkiej i tworzeniem z ludzkości karnej armii jednolitych myślowo klonów. Nie jest jedynie wołaniem o indywidualizm, o własne zdanie, o zrywanie gęb i beznadziejność walki z „upupianiem”. Jest echem powracającego pytania o ludzki stosunek do świętości utrzymujących i konstytuujących wspólnotę ludzką. Ludzkość aby trwać w stadzie potrzebuje totemów i sztandarów. Tak jak pierwsze polis greckie powstawać miały wokół wzgórz, na których czczono bóstwa i herosów, a każdy przejaw ateizmu mógł być wstępem do banicji lub skazania na wypicie cykuty, tak każda społeczność buduje sobie zbiór pojęć niekwestionowalnych, tych na jaki temat pytań stawiać nie wolno, albo przynajmniej nie wypada.

Gombrowicz pisał swój tekst w czasie specyficznym, w atmosferze odradzającego się po 123 latach państwa, które jednocześnie drżało w obawie o swój dalszy los. Nie zintegrowane społecznie, rozbite gospodarczo, sklejane nie tylko z części, ale wręcz wydartych kawałków różnych cywilizacji, potrzebowało jak tlenu symboli jednoznacznych i niepodważalnych. Paradygmatów, nad którymi nikt się zastanawiał nie będzie. Bardzo więc możliwe, że dysonans

poznawczy między tym, że „Słowacki wielkim poetą był”, a brakiem zachwyty nad jego twórczością wydarzył się naprawdę i nie był przy tym przypadkiem jednostkowym. Bo przecież realne wrażenia artystyczne miały tu rolę drugorzędną. Chodziło o symbol tworzącego się narodu, zachwycający magią znaku, a nie finezją strof.

Spór o tytuł debaty, w czasie której dyskutować miano o procesach kolonialnych, ma taką samą podstawę. Współczesna cywilizacja euroatlantycka stworzyła na bazie doświadczeń dwóch wielkich wojen paradygmat oparty na potępieniu wszelkich prób dominacji jednych nad innymi, przekonaniu o wyższości kulturowej, unikaniu jednoznacznych hegemoni, wspieraniu idei samostanowienia narodów itp. I nawet jeśli w praktyce realizowano to nieudolnie i raczej budowano zgrabną fasadę, to w dziejach myśli ten zespół wartości narzucił myśleniu świętości i rzeczy niekwestionowalne. Jedną z nich był negatywny obraz kolonializmu, jako pośrednio winnego hekatombie jaka pochłonięła świat w pierwszej połowie XX wieku i nadal zbiera krwawe żniwo. Postawienie więc pytania, czy kolonializm mógł być dobry dla kolonizowanych ma charakter obrazoburczy. W czytających zaproszenie wzbudzić może uzasadnioną obawę, że nie o poszukiwanie prawdy tu chodzi, nie o akademicki spór który ma za zadanie odkryć istotę rzeczy, ale o rozmydlenie czegoś co wydaje się być oczywiste. Może być odczytane jako uderzenie w fundamenty wizji świata, według której próbujemy od kilkadziesiąt lat budować współczesną ludzką wspólnotę. Wrażenie dość oczywiste, zwłaszcza, że chętnych którzy przewróciliby współczesność do góry nogami wracając do mitycznych czasów idealnych nie brakuje.

W tym kryje się jednak dramat naukowca. Przecież jak w każdej nauce sensem jej istnienia jest bezustanne stawianie wszystkich możliwych pytań i szukanie na nie odpowiedzi. Bez pytań nie ma nauki, bo nauka jako taka jest nieprzerywalnym ciągiem dziwienia się. Totem nie pozwala jednak tej pracy wykonać, jak można bowiem pytać o fundament? Przecież każde

pytanie niesie ze sobą wątpliwość, a świętość wątpliwości nie znosi. Z jednej więc stron badacz nauk humanistycznych powinien badać wytwory myśli ludzkiej, z drugiej jednak co chwilę napotyka na problem jakich to pytań zadawać mu nie wolno, jeśli nie chce narazić się na oskarżenie, że oto demontuje wszechpodstawy tego świata.

A przecież podobnych totemów wymienić można nieskończoną ilość. Krytycy środowiej debaty oczywiście bardzo szybko sięgnęli po argument „ad Hitlerum” (według prawa Godwina już to powinno ich uczynić przegranymi w tej dyskusji). Skoro bowiem można dyskutować o tym czy kolonializm był dobry, to dlaczego nie o tym czy dobry był nazizm czy inne formy totalitaryzmu – pytają sceptycy. Nie trzeba jednak iść aż tak daleko w poszukiwaniu świętości. Wyliczmy zatem: czy wobec 1050 rocznicy chrztu Polski wolno nam pytać o rzeczywistą skalę „nawrócenia” naszych przodków, czy wolno nam postawić pytanie o kondycję moralną pierwszych władców, czy źródła wspólnoty narodowej alternatywne wobec religijno-romantycznej wizji, czy możemy pytać o pozytywne aspekty rozbitcia dzielnicowego, czy możemy postawić pytanie o to, czy Rzeczpospolita Obojga Narodów powstała jako pokojowa unia, czy może efekt szukania dominacji, czy rozbiory były dobre dla Polski, a II RP była nieudolnym tworem konserwującym społeczne nierówności. Tak, wszystkie te pytania uderzają w świętości. Paradoksalnie jednak krytycy debaty na SGH najpewniej podpisałiby się pod potrzebą dyskusowania wspomnianych zagadnień, nie dostrzegając, że to też naruszałoby świętości budujące dzisiejszą polską wspólnotę, tak jak na krytyce kolonializmu próbuje się fundować wspólnotę ogólnoludzką.

Wymienione pytania zresztą padają, każdorazowo wzbudzając oburzenie i budując atmosferę intelektualnego skandalu. Nie oznacza to jednak, że nie przynoszą żadnych efektów dla nauki. Pytanie o unię lubelską, zadane przez historiografię ukraińską na początku lat 90., a w Polsce potraktowane obrazoburczo poskutkowało rodzimymi badaniami nad zasiedlaniem ziem

ruskich, w dużej mierze kwestionujących tezę o wzmożonej polskiej ekspansji na te tereny zaraz po 1569 roku. Pytanie o udział Polaków w Zagładzie (choć samo w sobie podważające jeden z fundamentów naszego patrzenia na II wojnę światową) poskutkowało badaniami na ten temat, pozwalającymi na wskazanie mnogości postaw i heroizm Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. Nie każde więc pytanie na granicy obrazu symbolu prowadzi do jego podważenia. Wręcz przeciwnie, tylko stawianie takich pytań pozwala nadać mu jeszcze większą wartość.

Oczywiście w takim myśleniu jest pewna pułapka. Stanięcie po stronie pełnej wolności w zadawaniu pytań zawsze rodzi ryzyko, że nie o poszukiwanie istoty będzie chodzić, ale o usprawiedliwianie niegodziwości, lub poszukiwanie atrakcyjnych ideologicznych haseł. Nic nie zależy jednak od pytania, ale od osoby, która na nie będzie próbowała odpowiedzieć. Warto więc na nią zwrócić przede wszystkim uwagę. W krytyce debaty na SGH nie zauważyłem jednak, aby ktoś podważał kompetencje dyskutujących. Jedynie w „Codzienniku Feministycznym” pojawiły się zarzuty dotyczące braku parytetu płci i na brak w dyskusji głosu socjologii lub ekonomii. Pozostaje mieć nadzieję, że CF z równą pryncypialnością zwracać będzie uwagę na brak głosów historyków w dyskusji nad Rzeczpospolitą Obojga Narodów, państwową czy kształtowaniem się polskiej świadomości narodowej, bo w tych zagadnieniach są oni notorycznie pomijani.

Organizatorzy debaty popełnili jednak jeden poważny błąd wprowadzając na jej koniec możliwość głosowania. Głos ludu nie jest najlepszym rozwiązaniem w rozstrzyganiu co jest prawdą, a co nią nie jest. Debata ma służyć refleksji, dać pożywkę intelektualną, a nie być plebiscytem na to kto ma większą słuszność. Nie ma w tym już chęci poszukiwania, czy dociekania, ale ułuda, że wszystko można ocenić w kategorii tak lub nie. W takiej sytuacji stawianie trudnych pytań rodzić może w pełni uzasadnione obawy, że powstają jedynie dla

poklasku, a nie dla tworzenia wiedzy.

Autorstwo: Sebastian Adamkiewicz

Źródło: [Histmag.org](https://histmag.org)

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)